

Herbert Rosendorfer
Budowniczy ruin

Przełożył
Edwin Herbert

Posłowie
Adam Lipszyc

Państwowy
Instytut
Wydawniczy

Jeśli człowiek wsiada do pociągu, w którym sześćset zakonnic odbywa pielgrzymkę do Lourdes, to jest zadowolony, gdy uda mu się znaleźć pusty przedział tylko dla siebie, nawet jeśli wyda mu się w nim podejrzane jakieś dziwne poświstywanie, a bardziej jeszcze leciutki zimnokwaskowaty zapaszek.

To pewnie żarówka tak śpiewa, pomyślałem sobie, żarówki czasem śpiewają, tak kończąc swój żywot, podobne w tym do łabędzi. Wsunąłem walizkę na siatkę nad ławką i otworzyłem okno, aby przewietrzyć przedział po poprzednim pasażerze, któremu snadź mocno pociły się nogi. Kiedy jednak pociąg ruszył, a ja usiadłem i wyciągnąwszy nogi, wsunąłem stopy pod ławkę naprzeciwko, poczułem nagle, że coś je chwyta i mocno przytrzymuje.

Gazeta wypadła mi z rąk, z przerażenia nie mogłem nawet krzyknąć, tylko instynktownie zacząłem wierzcąc nogami. Kiedy teraz przywołuję sobie na pamięć, jakie myśli przebiegły mi wtedy przez głowę, to wydaje mi się, że w pierwszej chwili pomyślałem o gigantycznym wężu.

Okazało się jednak, że to człowiek; mężczyzna w o wiele za grubym, jak na tę porę, płaszczu z materiału w jodełkę i jak na jego figurę o wiele za obszernym, w dodatku z nadzwyczaj powypychanymi kieszeniami, jak to bywa u ludzi, którzy cały swój dobytek stale noszą przy sobie. Na początek jednak zobaczyłem tylko jego głowę, którą wytknął spod ławki.

– Pan pomoże ściganemu – wyszeptał – pożałowania godnej ofierze swego zawodu.

– Niech pan puści moje stopy – odpowiedziałem.

– Pan opuści zasłonki na oknach od korytarza – szepnął jeszcze, po czym odepchnął od siebie moje stopy.

Zawahałem się, potem jednak pościągałem w dół brudne, podobne do rolet zasłony, które w przedziałach kolejowych ujęte są przy oknach w małe szyny stalowe; uruchamia się je przez pociąganie za nieporęczne uchwyty skórzane. Zasłonki te mają zawsze tendencję do tego, aby natychmiast z niesamowitą szybkością i z głośnym młaśnięciem z powrotem zwinąć się w górę. Zazwyczaj jest ich łącznie trzy: jedna szersza roleta na drzwiach przedziału i dwie węższe na oknach po lewej i po prawej stronie. Kiedy udało ci się ściągnąć już i drugą, pierwsza skacze z powrotem w górę. Jeśli ze zręcznością akrobaty popracujesz, uda ci się czasem dopiąć tego, że na kilka sekund dwie rolety pozostaną na dole. Jeśli teraz ostrożnie pociągnąć trzecią, to co najmniej jedna, jak na zaklęcie czarownicy, młaśnie znów w górę. Najwiśdoczniej konstrukcja tych rolet zakłada istnienie człowieka trójręcznego.

Kiedy wreszcie udało mi się okiełznać i opuścić wszystkie trzy rolety, mężczyzna wyczołgał się spod ławki i wcisnął w kąt przedziału, zawinięty w swój brudny płaszcz. Twarz miał nieogoloną, usta czerwone i wilgotne. Szeptał raz po raz:

– Dzięki! Dzięki! Dopomógł pan ściganemu.

– Mam nadzieję, że to nie policja pana ściga? – powiedziałem, mimowolnie także ścisząc głos do szeptu.

– Jestem ofiarą mego zawodu! – odparł. Odniosłem teraz wrażenie, że raczej ma tęgą chrypkę i głośniejsze do prostu mówić nie może.

– Ścigani włamywacze też są w pewnym sensie ofiarami swego zawodu.

– Doprawdy, nie narzucalbym się panu, gdyby mnie pan nie kopnął w brzuch – odrzekł nieco urażony.

– Przepraszam – odszepnąłem.

– Co proszę?

– Przepraszam – powtórzyłem szeptem, pochyliwszy się ku przodowi. Zalatywało od niego piwem.

– Dobra – skwitował. – Wie pan, właściwie to ja nie mam biletu.

– Tak też myślałem.

– A już tym bardziej nie pierwszej klasy.

– I co będzie, jak konduktor teraz wejdzie?

– Dlatego właśnie poprosiłem pana, żeby pan opuścił rolety, konduktor pomyśli, że pan śpi, i zanim wejdzie, to zapuka do drzwi dziurkaczem do biletów. A ja wtedy znów szybko zniknę. Lepiej też będzie, jak zgasimy tu światło.

Wstał i przekręcił kontakt. Przedział nasz oświetlała teraz tylko mała niebieska żarówka, a od czasu do czasu mdłe urzędowe światła uspionych dworców, które mijaliśmy.

– Pan sądzi, że jestem włamywaczem? – szepnął. – Nie, nie. Wykonywałem wiele niezwykłych zawodów. Nie jestem ofiarą jednego zawodu, w gruncie rzeczy jestem ofiarą wielu zawodów. To już u nas rodzinne. Wszyscy mamy... na przykład mój brat, czy zna pan książkę *Klub niezwykłych zawodów*?

– Chestertona – szepnąłem.

– To moja ulubiona książka. Sam, bez mojego brata, mógłbym ją wzbogacić o parę rozdziałów. Byłem na przykład dzierzawcą kąpieliska słonecznego dla pań...

– O la la! – szepnąłem.

– No właśnie, ja też tak sobie myślałem. Mój poprzednik kazał sobie wbudować do budki kasowej specjalną ściankę. Od zewnątrz wyglądała ona jak zwykły mur, a od wewnątrz była oknem, przez które można było objąć wzrokiem całe kąpielisko. Dość rzadko jednak pojawiała się tam jakaś młoda niewiasta, a jeszcze rzadziej bywała ona ładna. Takie rozbierają się gdzie indziej! Nie: przeważnie były to otyłe stare baby albo zasuszone stare baby. Niby kłębowisko jaskiniowych gadów przewalały się po trawie, dziobiąc powietrze starcami, powykrecanymi palcami stóp. Po kilku tygodniach zacząłem już śnić...

Jak trzaśnięcie z bicza wywód jego przerwało podwinięcie się jednej z rolet. Dzierżawca kąpieliska słonecznego dla pań ze zręcznością łasicy znalazł się pod ławką. Prędko jednak znów się wynurzył, kiedy rozpoznał przyczynę hałasu. Ściągnąłem roletę w dół.

– To nie jest życie – wyszeptał, z trudem łapiąc powietrze. – Proszę, niech pan spojrzy na to.

Podał mi przybrudzony kawałek papieru, na którym – o ile mogłem zorientować się przy mdłym świetle niebieskiej żarówki awaryjnej – naniesione było mnóstwo punkcików.

– Cóż to takiego? – zapytałem szeptem.

– Mój brat... ale niech mi pan wpieryw pozwoli opowiedzieć, jak dokonałem mego wynalazku. Było to w więzieniu...

– No więc jednak – szepnąłem.

– To nie to, o czym pan myśli. Ja naprawdę nie jestem kryminalistą! Znalazłem się w więzieniu, bo kilka razy, przyznając, niezupełnie trzeźwy, nocowałem w niedokończonych domach lub w ruinach. Pewnego razu trafiłem przy tym do garażu komisariatu policji. Jakiś policjant pośród nocy, niechcący, nie mam zamiaru mówić nic

krzywdzącego o policji, na pewno omyłkowo nasiusiał mi prosto w twarz. Zerwałem się z krzykiem... ale to przecież nie jest interesujące. W każdym razie w więzieniu były pluskwy. Te pluskwy naprowadziły mnie na pomysł samoczynnego sprzątania pomieszczeń. Jeśli się pluskwom, tak sobie to rozważałem, przywiąże do nóżek małe, bardzo małe gumki do wycierania, a potem się je puści na pokój, to rozleżą się wszędzie i zetrą wszelki brud. Pluskwy wprawdzie są bardzo lekkie, nie mogą więc przy ścieraniu wyrzucić większego nacisku, ale są za to uparte i bardzo dużo łożą w kółko, często przekraczając ten sam punkt, a poza tym znaczenie ma również ich liczba. Narysowałem więc plany, w jaki sposób przyczepić gumki pluskwom do nóżek. Ledwie odsiedziałem karę, od razu wszedłem w kontakt z niejakim Leisentritiusem... zna pan Leisentritiusa?

– Nie – szepnąłem.

– Co proszę? – zapytał szeptem. Turkot pociągu stał się w tej chwili bardzo głośny.

– Nie – powtórzyłem szeptem.

– Tak spytałem, bo przecież zawsze mogło się zdarzyć. No więc wpiery przeprowadzaliśmy doświadczenia z martwymi pluskwami, a następnie dopiero z żywymi. A kiedy pewnego dnia wyszedłem z domu, ten idiota Leisentritius przez niedbalstwo pozwolił uciec wszystkim zwierzętom doświadczalnym, porozłaziły się na wszystkie strony, niestety wlażyły także na moje plany i rysunki techniczne i wszystko powymazywały. Zastałem po powrocie, że się tak wyrażę, unicestwione dzieło mego życia.

– I wtedy go pan zabił... – szepnąłem.

– Leisentritiusa? Ależ skąd...

Ktoś zapukał do drzwi, które w następnej chwili gwałtownie się otworzyły, lecz dzierżawca kąpieliska

słonecznego dla pań i pogromca pluskwiew znalazł się już pod ławką. To nie konduktor zapukał, lecz boy z wagonu restauracyjnego. Zaproponował napoje chłodzące. Zamówiłem dwa kufle piwa.

– Dwa? – zapytał boy. – Ma pan zapewne na myśli jedno duże?

– Nie – szepnąłem. – Nie – powiedziałem nieco głośniej – dwa albo, niech będzie, dwa duże.

Boy nalał dwa piwa, ja zapłaciłem, a on uklonił się i poszedł sobie.

– To niezwykle przyzwoicie z pańskiej strony – szepnął nieznajomy, wyczołgawszy się ze swego ukrycia – skąd pan wie, że ja tak chętnie pijam piwo?

– Tak sobie pomyślałem.

Pociągnął tęgi łyk.

– Nie, nie zamordowałem Leisentritiusa, w każdym razie nie całkowicie; ale z truposzami miałem potem przez długi czas mnóstwo zajęcia. Wymyśliłem mianowicie coś nowego: specjalne przedsiębiorstwo pogrzebowe. Sprawa to nieco bardziej skomplikowana niż tamta z pluskwami. Opowiadając panu o niej, zakładam, że pan się trochę zna na problemach handlowych.

– Tak, trochę – odszepnąłem – ale niech mi pan powie, bo kiedy boy zapalił światło, przyjrzałem się dokładnie pańskiej karteczce; co oznaczają wszystkie te czarne punkciki?

– Te punkty to są otworki – odpowiedział.

– Doprawdy? – Znow wzięłem karteczkę do ręki.

– One przedstawiają otworki. Ale o tym później. Moje przedsiębiorstwo bazowało na fakcie, że ludzie wprawdzie chętnie pragnęliby mieć wspaniałą pogrzeb, ale za życia niechętnie wydaliby na to pieniądze. Dalszy fakt, że nadto bogaci ludzie są szczególnie skąpi, wspomagał moje plany. Zawierałem więc umowy z ludźmi

starymi, bogatymi, w miarę możności chorymi. Zobowiązywałem się w tych umowach zorganizować moim klientom wspaniały, według ich wyobrażeń, pogrzeb; wieńce, chłopcy sypiący kwiaty, mówcy żałobni, dostojni delegaci pogrzebowi, płaczące dziewice, chóry, mnóstwo umundurowanych ludzi, także ci niosący trumnę, wieńce i ordery, moździerze, balety żałobne, wędrujące żywe obrazy przedstawiające ważniejsze sceny z życia zmarłego... miałem nawet zakontraktowanego własnego kompozytora hymnów. Wszystko to razem kosztuje oczywiście bająnskie sumy. Tych skąpych pierników nie obchodziło to jednak wcale, ponieważ za życia nie potrzebowali za nic płacić. Musieli jedynie – rzecz jasna, wiązałem się tylko z klientami o trwałej wypłacalności – pozostawić mi w testamencie notarialnie zapewniony legat. Gdybym po ich śmierci musiał rzeczywiście cały ten cyrk rozwinąć, osiągałbym, biorąc rzecz szacunkowo, co najwyżej trzy do pięciu procent czystego zysku. Ja jednak wchodziłem w kontakt ze spadkobiercami i za dziesięć procent rezygnowałem z legatu. Przeważnie otrzymywałem jeszcze zwłoki jako prezent na dodatek... Zapewne przypomina pan sobie te figurki z tłuszczu, które dawniej stały w każdej witrynie sklepowej masarni? Często bywały to świnki w fartuszkach rzeźniczych niosące szynkę, w której wycinało się odpowiedni wzorek albo datę jubileuszu firmy, albo jeszcze coś w tym rodzaju. Nie? Takie właśnie figurki fabrykowałem z tych zwłok. Obrót stanowił praktycznie o moim czystym zysku...

Drugim łykiem dopił całe swoje piwo.

– Nie powinienem był jednak pozwolić sobie na zbłądzenie w rejony sztuki. Kiedy pewnego razu w galerii, w pobliżu św. Stefana w Wiedniu wystawiłem kilka abstrakcyjnych świnek masarskich...

Ktoś, nie zapukawszy, otworzył gwałtownie drzwi. Wprawdzie dzierzawca kąpieliska słonecznego dla pań, pogromca pluskiew i rzeźbiarz dekoracyjnych figurek z tłuszczu zniknął natychmiast pod ławką, jednak snop światła silnej latarki kieszonkowej pochwycił jeszcze jedną ze stóp w momencie, kiedy i ta miała zniknąć pod siedzeniem.

– Wyjść stamtąd! – powiedział ktoś ostrym tonem. – Policja!

Zapalono światło. Dwaj mężczyźni, widocznie policjanci po cywilnemu, stali w przedziale. Obcy, stękając, wylażł spod ławki.

– A jednak nie pomyliłem się, Einsteinku, sądząc, że cię tu przydybiemy. – Czy pan go zna? – surowo zapytał mnie starszy funkcjonariusz.

– Właśnie go poznałem – odrzekłem.

– I pan poważnie uwierzył, że ten nasz Einsteinek ma bilet pierwszej klasy?

– Cóż mnie to obchodzi? – odparłem.

– Nic mi nie możecie udowodnić, głupie gliny...

Młodszy z policjantów zamachnął się, lecz starszy powstrzymał go.

– Poczekaj – powiedział. – Co najmniej, Einsteinku, jechałeś koleją na gapę, a teraz obraziłeś nas. A poza tym, czy masz przy sobie dowód osobisty?

Obcy z ociąganiem sięgnął do wewnętrznej kieszeni nędznego płaszczka. Zauważyłem jego nerwowo rozbiegane oczy; szukał i szukał... Nagle z szybkością błyskawicy wskoczył na ławkę, jedną ręką gwałtownie otworzył okno, podczas gdy drugą pociągnął za hamulec bezpieczeństwa; ostre zahamowanie, które nastąpiło natychmiast, przewróciło obu policjantów; upadli na ławkę, a mnie wyrzuciło z mojego siedzenia ku przodo-

wi na nich. Obcy wykorzystał przewidzianą widocznie sytuację na to, aby zręcznie wyskoczyć przez okno.

Zanim funkcjonariusze się pozbierali i doskoczyli do okna, już zniknął w ciemnościach. Zakonnice rozgęgały się. Młodszy policjant zagwizdał na swym trelującym gwizdku. Inni policjanci, konduktorzy, kelnerzy wagonu restauracyjnego, reszta personelu kolejowego, niezliczeni wreszcie ciekawscy, wszyscy razem zaczęli się tłoczyć po korytarzach w rozpaczliwym rozgardiaszu. Starszy policjant z trudem tylko zdołał wydać odpowiednie rozkazy. Pociąg musiał czekać. Funkcjonariusze przeszukali nasyp kolejowy i najbliższą okolicę, lecz poszukiwania nie miały żadnych widoków powodzenia: jak tylko okiem sięgnąć, tor prowadził tu przez okolice pozbawione dróg, porośnięte lasem z gęstym podszyciem, a poza tym noc na nowiu była mroczna. Odniosłem nadto wrażenie, że policjanci woleli nie oddalać się od pociągu – zapewne w obawie, aby bez nich nie odjechał. Wkrótce też zrezygnowano z dalszych poszukiwań. Zakonnice się uspokoiły. Ciekawscy porozchodzili się po przedziałach; tylko starszy z policjantów pozostał ze mną i oświadczył, że musi mnie przesłuchać jako świadka zajścia. Przedstawiłem więc wiernie wszystko, co się zdarzyło, także i to, co mi ów obcy opowiedział, a policjant wszystko zanotował. Potem musiałem podpisać protokół, a funkcjonariusz posłał któregoś ze swych podwładnych, pełniącego służbę na zewnątrz, do wagonu restauracyjnego.

– Czy pan także by sobie czegoś życzył? – zapytał.

Poprosiłem o kawę, a inspektor kryminalny – przypuszczam, że taki posiadał stopień – zamówił dla siebie dwie pary serdelków i piwo. Uważał widocznie, że dopełnił już swoich obowiązków służbowych.

– Nie ma pan chyba nic przeciwko, że tu zostanę? – zapytał.

– Ależ proszę – odparłem.

Usiadł sobie wygodnie na miejscu, które krótko przedtem zajmował Einsteinek.

– Tak w zaufaniu powiedziaławszy – odezwał się – to za dużo zachodu...

– A cóż on takiego zbroił?

– Tego właściwie nie wolno mi panu powiedzieć.

– Wydaje mi się, że chyba przestępcą na wielką skalę to on nie jest, raczej facetem po trochu zbzikowanym.

– Przecież mówię panu: o wiele za dużo zachodu z takim... A czy on jest zbzikowany? Każdy co sprytniejszy łobuz zgrywa przed sądem i w więzieniu wariata; jest to ich jedyną obroną, gdy im już można wszystko udowodnić. Niektórzy tak zręcznie grają wariatów, że rzeczywiście wariują. Ale czy o n akurat jest wariatem?...

Podwładny przyniósł piwo, serdelki i kawę, po czym otrzymał zgodę na oddalenie się.

– Własnym oczom nie wierzyliśmy – odezwał się inspektor z kęsem w ustach – kiedy właśnie Einsteinek pojawił się ze swoim „Panorama-show”, jak nazwał to swoje przedsiębiorstwo. Jakim cudem otrzymał na nie licencję, jest dla nas tajemnicą. Owo „Panorama-show” nie było niczym innym, jak czterema czy pięcioma skrzynkami, do których wrzucało się po dziesięć fenigów, po czym we wzierniku przesuwiała się seria obrazków. Na dodatek klient otrzymywał jeszcze parę słuchawek, przez które wysłuchiwał akompaniamentu muzycznego i objaśnień przezroczy. Od początku byliśmy przekonani, że nasz łobuz pokazuje także serie obrazków niecenzuralnych, ale nie udało nam się go na tym przyłapać. On ma nie tylko doskonałego nosa na wszystko, co ma związek z nami, ale oczy-